„Czym był Katyń, wiedziałem od

– mówi **MAREK KOSTYRZEWSKI**, syn podporucznika Bolesława Kostyrzewskiego, warszawskiego pocztowca i jeńca z Kozielska zamordowanego w Katyniu

Foto: Maciej Drozdowski

Marek Kostyrzewski z żoną i wnukiem.

Uroczystość otwarcia cmentarza w Katyniu, 2000 rok.

Wśród pamiątek rodzinnych zachowała się papierośnica Bolesława Kostyrzewskiego.

Pańskie losy tak się potoczyły, że nie miał Pan szans, by poznać Ojca: moment Pańskich urodzin zbiegł się z jego pobytem na manewrach, a kilka miesięcy później dostał już powołanie do wojska… Zbliżał się wrzesień 1939 roku. Podporucznik Bolesław Kostyrzewski – bo o nim mówimy – walczył wówczas w Brześciu nad Bugiem, skąd dostał się do rosyjskiej niewoli, a stamtąd trafił do obozu jenieckiego w Kozielsku. Kiedy i jak dowiedział się Pan o Jego śmierci?

Bardzo wcześnie, bo jeszcze w czasie okupacji. Gdy po 1943 roku doszły do nas wieści o znalezieniu zbiorowych grobów polskich oficerów w Katyniu, zaczęliśmy podejrzewać, że ojciec też tam zakończył życie. Nie pamiętam szczegółów – miałem wtedy ledwie 6 lat – lecz wiem, że w 1945 roku ktoś, kto przeżył Griazowiec, przyszedł do nas do domu z wiadomością, że ojciec zginął. Mama podjęła decyzję o wyjeździe z Warszawy. Przenieśliśmy się do Tarnowa, czyli w rodzinne strony mojej matki, zwłaszcza że warunki mieszkaniowe w ówczesnej, zburzonej stolicy mieliśmy bardzo trudne.

Od kiedy Pański ojciec pracował na poczcie?

Z chwilą ukończenia szkoły średniej rozpoczął i pracę, i studia. Zatrudniony został w Urzędzie Pocztowym Warszawa 46, przy ul. Karolkowej. Rodzice poznali się w tymże urzędzie i pobrali w roku 1937; wiem, że po ślubie mama zmieniła urząd, w którym pracowała.

A kiedy do Pana świadomości dotarło, czym był Katyń?

Też bardzo wcześnie. Choć na początku nie było dla mnie jasne, kto tej zbrodni dokonał: Rosjanie czy Niemcy. Ale potem w powszechnej świadomości Katyń zaczął funkcjonować jako miejsce rosyjskich mordów, mimo że – paradoksalnie – nie mówiło się o tym publicznie ani nie było na ten temat żadnej publikacji. Pamiętam, że gdy w 1964 roku dziadek budował w Tarnowie grobowiec, będący także symboliczną mogiłą mego ojca, jako miejsce jego śmierci wpisaliśmy Kozielsk, bo wtedy jeszcze nie byliśmy pewni, czy został rozstrzelany w Katyniu, czy też zakończył życie w obozie jenieckim.

A gdy pytano Pana o miejsce śmierci ojca, to co Pan mówił? Katyń był wtedy źle widziany…

W rubrykach rozmaitych dokumentów wpisywałem: Kozielsk.

Nie spotykał się Pan z wrogimi reakcjami?

Szczerze mówiąc, nie.

Kiedy dowiedział się Pan, że ojciec jest na liście polskich oficerów zamordowanych przez Rosjan w Katyniu?

Chyba pod koniec lat 60., gdy dotarły do mnie pierwsze zachodnie publikacje. I choć władze robiły wszystko, by Katyń owiewała mgła tajemnicy, to i tak wszyscy wiedzieli, jak to było naprawdę. A szczególnie zainteresowani.

Miał Pan kontakt z ludźmi, których rodziny, podobnie jak Pańska zginęły na wschodzie?

Oczywiście. Spotykałem się z nimi już od szkoły średniej. Nie zawsze było wiadomo, gdzie mieszczą się groby ich bliskich, i o tym się między sobą mówiło. Skończyłem I Gimnazjum w Tarnowie – najbardziej prestiżową szkołę na tym terenie – w którym mieliśmy znakomitych, przedwojennych nauczycieli. W dniu śmierci Stalina zdjęliśmy ogromne drzwi wejściowe, jeden

yń, dziecka…”

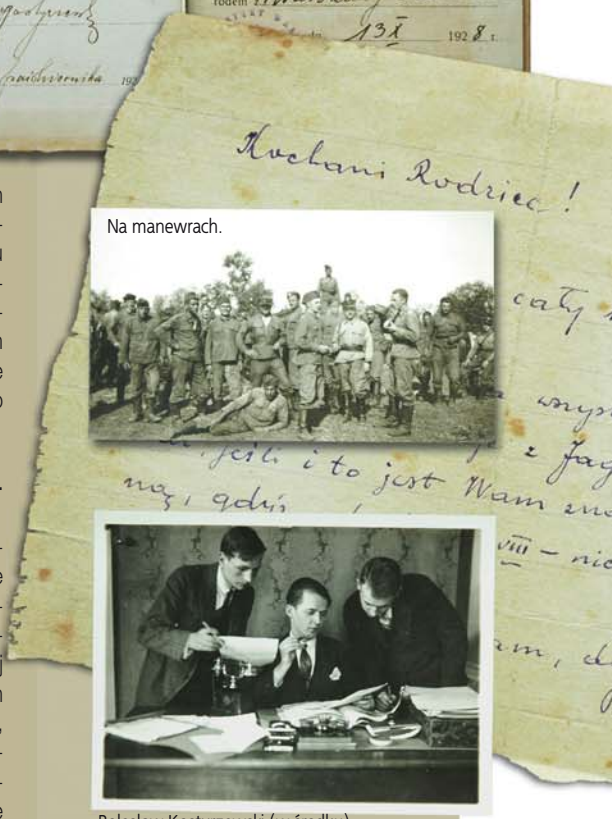

Na manewrach.

Bolesław Kostyrzewski (w środku), w macierzystym urzędzie pocztowym.

Urząd Pocztowy nr 46 przy ul. Karolkowej w Warszawie.

Foto: arch. rodzinne, kopie fotografii Macieja Drozdowski

z kolegów położył się na nich, okrył prześcieradłem, a my utworzyliśmy kondukt ze świecami. Wybuchła straszna awantura. To, że nas ze szkoły nie powyrzucali, zawdzięczamy mądremu dyrektorowi. Mieliśmy naprawdę dobrych opiekunów. Fizyki na przykład uczył nas dawny docent z Politechniki Lwowskiej, któremu ze względu na poglądy polityczne nie pozwolono wykładać na wyższej uczelni. Słowem, stare grono profesorskie składało się z zacnych ludzi na przyzwoitym poziomie, którzy swoje myśleli. W tej atmosferze Katyń nie był niczym tajemnym. Choć do końca, czyli do chwili, gdy zobaczyłem nazwisko ojca na liście, kołatał się we mnie jakiś cień nadziei…

Pański ojciec miał trzech braci.

Aleksander zginął w Mathaussen. Ryszard był żołnierzem warszawskiego podziemia i zmarł po wojnie na gruźlicę. Wraz z nim mieszkałem w jednym pokoju, trudno więc było, bym się nią nie zaraził… I to był też jeden z powodów naszego wyjazdu z Warszawy. Wyleczyłem się dopiero w Tarnowie. Jerzy, kolejny brat ojca, także zmarł na gruźlicę, tyle że jeszcze w czasie okupacji. Z naszej warszawskiej rodziny został Leszek, syn Aleksandra, który teraz mieszka w Brwinowie. Nie ma męskiego potomka. Jedynym Kostyrzewskim z tej linii pozostaje zatem Jasiek, syn mojego syna.

Studiował Pan w Krakowie?

Tak, na Akademii Górniczo-Hutniczej. Z wykształcenia jestem inżynierem elektrykiem i całe życie przepracowałem w tym zawodzie. Od trzech lat jestem na emeryturze, choć nadal pracuję.

I działa Pan w tarnowskim Kole Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Katynia…

Moja mama, Jadwiga Kostyrzewska, która całe życie przepracowała na poczcie, gdy tylko taka organizacja powstała, od razu złożyła do niej akces. Ja działałem tam sporadycznie. Z końcem lat 80. założyliśmy Koło w Tarnowie. Mama od początku była jego sekretarzem. Dziś liczy ono czterdzieści pięć osób; czynnie działa dwudziestu ludzi. Początkowo było w nim kilka żon oficerów pomordowanych w Katyniu, ale nieubłagany czas zrobił swoje. Dziś są to przeważnie dzieci tzw. katyńczyków.

Teraz Pan temu Kołu sekretarzuje. Czym się zajmujecie?

Ogromną wagę przywiązujemy do spotkań z młodzieżą. Szacujemy, że rocznie uczestniczy w nich około tysiąca słuchaczy. Organizujemy także konkursy dla uczniów szkół średnich – „Katyń w naszej pamięci”. Prowadzimy audycje w lokalnym radiu. Uczestniczmy, z własnym sztandarem, w ogólnonarodowych uroczystościach, takich choćby jak poświęcenie pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie czy Kaplicy Katyńskiej w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie. Byliśmy również w Katyniu, Charkowie i Miednoje na uroczystościach wmurowania kamienia węgielnego, a następnie poświęcenia wybudowanych tam cmentarzy. Aktywnie działaliśmy w komitecie budowy miejscowego Pomnika Ofiar Stalinizmu. Dzięki naszej inicjatywie jeden z tarnowskich placów nosi nazwę Placu Ofiar Katynia. W miejscowym kościele ks. Filipinów mamy własne gabloty z dokumentacją i pamiątkami po zamordowanych na Wschodzie. Organizujemy konferencje naukowe pod hasłem „Śladami ojców naszych”. Wydaliśmy trzy płyty CD pod wspólnym tytułem „Ocalić od zapomnienia”.

To rzeczywiście niemało. Jest więc szansa, że tamtych zdarzeń sprzed lat nie zaćmi czas i niepamięć. ■

Rozmawiał: Józef Kliś